Miotało nim. Szarpało, wierzgało, wywracało na drugą stronę. Aż krew żercę zalała – tym razem jego własna. Sajmonella sapnął z poirytowania. Miał już dość.

Od dwóch dni Metah szalał w jego podświadomości jak ranione zwierzę. Świeży posiłek z dziecięcej duszy podrażnił wszystkie duchowe zakątki czarnoksiężnika Półmroku mocniej, niż się tego spodziewał. Sam uczeń nie doświadczał co prawda kulinarnej ekstazy po energetycznym posiłku, ale czuł aż nadto wyraźnie narkotyczną szamotaninę *obecności* w swojej głowie. Coraz częściej marzył o tym, aby udało mu się jakoś otrząsnąć z tego duchowego bagażu. Odłączyć się od strachu i pychy Metaha, być Sajmonellą w jednej osobie. Zwłaszcza w takich momentach jak ten.

Zanosiło się na kolejną nieprzespaną noc – nieme wycie podrażnionego głodu jego mistrza doprowadzało go czasem na skraj szaleństwa. Dziś na pewno. Poderwał się z posłania i ruszył w ciemność, na oślep. Byle nie stać w miejscu.

Mróz nocy otrzeźwił nieco jego rozterki, odwrócił uwagę. Czarnoksiężnik zadygotał raz jeszcze, po czym zakleszczył się przez moment wokół jego umysłu, zaalarmowany niespodziewaną przechadzką. Nie wyczuł jednak niczego nowego – ot stałą frustrację i zmęczenie. Uspokoił się nieco, emitując po chwili pytającą myśl.

- Nie wiem, przed siebie – żachnął się Sajmonella. Po kilku krokach zatrzymał się jednak i wypuścił głośno powietrze przez nos. – Rano wracam na to miejsce. Nie padało od dwóch dni, ślady powinny być jeszcze choć trochę widoczne. Poza tym, na pewno go szukali, może nawet trafię na świeże tropy. Spróbuję dotrzeć do jego wioski.

Poczuł w głowie falujące opary niezdecydowania. Wiedział, że Metah bał się jeszcze ponownego powrotu między ludzi, ale nie było wyjścia. Inaczej obaj tu zwariują.

- Pójdę, wkupię się jakoś w łaski. Potrenuję. Najwyższy czas, niczego się przecież nie uczę w tej dziczy. No, może poza okazjonalnym zabijaniem. Tak naprawdę obaj stoimy w miejscu, tylko ty coraz głodniejszy, a ja… ja niedługo dostanę od tego kurwicy.

Czarnoksiężnik zapłonął odruchowo gniewem na butną odpowiedź. Niegdysiejszy fajter czekał beznamiętnie na ból – było mu już wszystko jedno. A niech go karze, może nawet tym razem przesadzi i nadejdzie śmierć. Lepszy taki koniec niż jałowe bieganie po lesie bez celu, w środku zimy, śpiąc gdzie popadnie. Ból jednak nie nadszedł. Metah, choć niechętnie i wciąż wściekły, musiał przyznać mu rację. Poza tym, sam miał już dość. Głodu i ciszy. Niechby się coś wreszcie działo. Niechby zagrała melodia nienawiści, niech zatli się wreszcie w kimś podsycona zawiść. Tęsknił do teatru intryg i podszeptów. Do regularnych posiłków. Wyszeptał dwa słowa i zapadł ponownie w Midraj. Sajmonella skinął lekko głową, bardziej z przyzwyczajenia niż na zgodę. Wciągnął głośno powietrze. *Nareszcie*.

Nim wyruszyli w drogę, trzeba było ustalić szczegóły całego przedsięwzięcia. Dysputa na temat taktyki względem strategii przetrwania przeciągnęła im się do późnych godzin świtowych dnia następnego. Czarnoksiężnik to była stara szkoła zabijania – jak najwięcej, jak najszybciej, bez oglądania się na konse-

kwencje. Zawsze przecież można przenieść się w kolejne miejsce, uciec. Temat poganianej pogonią tułaczki był pierwszym, o który posprzeczali się bez rozlewu krwi. Sajmonella żachnął się, że jego panu łatwo mówić o nomadyzmie i przeprowadzkach, gdy kto inny nosi ich brzemię na wytłuczonych, przemarzniętych stopach. Nim Metaha ogarnął ponownie „pański szał na niewolnika", młody żerca zdążył wtrącić, że są inne sposoby. Dlaczego by nie spróbować adaptacji? Regularne posiłki, mniejsze zużycie półmrocznej energii na partyzantkę, może nawet stopniowy rozwój magii, przywrócenie ciemnej szkole jej dawnej chwały i potęgi. Czarnoksiężnik zatrzymał się na tę sugestię wpół tortury. Gdy pierwsze, karzące za samodzielne myślenie płomienie bólu zniknęły, Sajmonella odchrząknął i wyłożył mistrzowi swój misterny plan.

Dotychczasowe zabójstwa dla pozyskania energii kończyły się zawsze tak samo. Wcześniej czy później wpadano na trop mordercy, a wtedy trzeba było brać nogi za pas nim w jednym szeregu z uzbrojonymi w cepy chłopami stawali specjaliści Gildii, Spiecslużby lub najemne zbiry kapłanów Gajowniczka. Niepotrzebne a wielkie ryzyko, z którego zysk czasem znikomy.

- A może by tak – ciągnął coraz bardziej podekscytowanym tonem młody żerca. – Może byśmy sprawili, że to będzie wyglądać na wypadek? Rozbujamy emocje do granic, z każdego da się przecież wyłuskać pierwiastek samobójczy. Albo morderczy. Zabijalibyśmy wtedy zabójców, jak prawi obywatele. Moglibyśmy nawet sprawić, że sami do nas będą przychodzić. Pomyśl tylko! Mógłbyś, mistrzu przynosić ulgę przedśmiertnym bólom starców i chorych, a ja odbierałbym im energię ulatującą przy ostatnim westchnieniu. Nazwalibyśmy to nawet jakoś… może… może… namaszczeniem chorych czy ostatnią posługą. Tak, żeby wyglądało, że coś dobrego robimy. Nie trzeba by wtedy przelewać krwi, chodzić ze sztyletem. Obawiać się pogoni. Ludzie sami by nas wtedy zapraszali, sami dostarczali ci pożywienia.

- Albo i lepiej, a gdyby tak… - Sajmonella niemal udławił się własną intelektualną podnietą. – A gdyby tak stworzyć jakieś takie miejsce, jakąś przestrzeń, dom... przekonać ludzi, że staruszkom u nas będzie lepiej, że zdejmiemy z ich barków marudne babcie i rozeźlonych dziadów, że zajmiemy się nimi „do końca". Ileż by z tego było stałych posiłków, pomyśl tylko! Gdyby tak przekonać wszystkich, że da się starcze niedołęstwo upchnąć w jedno miejsce, dla dobra, dla spokoju ogółu… ech… pomyśl tylko…

Metah pomyślał, nawet dwa razy. Zatopiony przez kilka dni w Midraju, powrócił pewnego wietrznego poranka, podejrzanie ugodowy. Do zrobienia było sporo, zdawali sobie z tego sprawę – przede wszystkim, czarnoksiężnik musiał nauczyć Sajmonellę wnikania w serca i umysły, manipulowania emocjami, tworzenia iluzji. To wymagało czasu, ale półmroczny mistrz uznał, że gra była warta świeczki, a nawet i kandelabru. Odrzucił jedynie pomysł ze starcami i przytułkiem – ich dusze były zbyt mało warte energetycznie, a pomysł na tyle rewolucyjny w obecnych czasach, że ryzyko ściągnięcia na siebie niepotrzebnej uwagi przesłoniło komfortowe zalety.

Cały plan miał się jednak zacząć klasycznie – od zabijania. W tym zgadzali się obydwaj. Bezwiedne czekanie na przysłowiowy łut szczęścia na wyludnionych Terytoriach mijało się z celem i rachunkiem prawdopodobieństwa. Sajmonella zaczął krążyć bliżej ludzkich sadyb, wzdłuż strumieni i leśnych ścieżek myśliwych. Niedługo potem, na niewielkiej leśnej polanie krzątał się przy sidłach jakiś chłopiec…

Ślady niefortunnego Joszka wtopiły się już szczelnie w zimowy krajobraz, przysypane dokładnie przez ostatnią śnieżycę. Na szczęście dla żercy, śnieg wokół wnyków rozorany był teraz innymi stopami – szukali go, tak jak przypuszczał. Rozejrzał się wokół. Od miejsca, w którym stał, odchodziło kilka tro-

pów, w różnych kierunkach. Po chwili zastanowienia wybrał te, które prowadziły mniej więcej w kierunku, z którego przybył trzy dni wcześniej.

Po jakiejś godzinie marszu znalazł się z powrotem przy wnykach. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Założył, że skoro nie trafił na chłopaka owego feralnego dnia, to prawdopodobnie przyszedł on z dokładnie przeciwnego kierunku. Niby oczywiste, ale pogrążony wtedy w myślach nie zwrócił uwagi na ślady malca. Wolał się upewnić. Westchnął lekko i ruszył na południe, prostą jak strzała linią ludzkiego tropu.

Słońce stało już wysoko, gdy wypadł spomiędzy drzew na leśny trakt. Ślady wiły się niewyraźnie wzdłuż ścieżki, skręcając wraz z nią na zachód. Odetchnął z ulgą – miał już dość brodzenia w mokrym śniegu i potykania się co kilka minut o zakamuflowane białym puchem korzenie. Zadowolony z obrotu spraw, postanowił zrobić sobie małą przerwę na odpoczynek. Czasu do zapadnięcia zmroku było jeszcze sporo, pomimo krótkiego dnia. Poza tym, teraz powinno pójść już znacznie szybciej. Wyjął zza pazuchy opieczone nad ogniskiem udko wiewiórki. *Jak pies*, pomyślał. Byle co i bez przypraw, bez soli. Ślinka pociekła mu na samo wspomnienie fajterskiej kuchni w siedzibie Gildii. Prawie zatęsknił.

Prawie.

Wznowił marsz. Za każdym zakrętem spoglądał trochę z niepokojem na kolejny, wyłaniający się zza niego odcinek trasy. Na szczęście trop prowadził ciągle równo i komfortowo, nie zbaczał z traktu w las. Po jakimś czasie dotarł do niewielkiego mostka, przerzuconego nad jarem godnym większego strumienia. Nim jego przytłumiony krok wydźwięczał na ostatniej desce przeprawy, zza sporych rozmiarów kamienia po drugiej stronie jaru wychynęła powoli dziewczyna ubrana w czerwoną pelerynę z kapturem. Uśmiechnęła się na jego widok na tyle niecodziennie, że nie oglądał się nawet za siebie. Napad.

Spod mostu wypadło zwinnie dwóch mężczyzn. No, może półtora. Jeden z nich miał życie wypisane na przeoranej zmarszczkami twarzy, natomiast drugi… drugi miał je chyba wymalowane. Nadzwyczaj nieskazitelna jak na lokalny klimat cera opinała delikatne rysy młodzieńca. Ubrany był w nieco wyświechtany surdut, w modnym ubiegłej jesieni buraczkowym kolorze. Opadająca na jedno oko, zadbana grzywka z blond włosów zakrywała częściowo nieco senne, rozmarzone spojrzenie błękitnych oczu. Na widok Sajmonelli mimowolnie przygryzł wargę. *Jagodowa szminka?*. Żerca spojrzał z ukosa w podkreślone popiołem oczy. Wzdrygnął się odruchowo. Jak na bandziora, ten był estetycznie cokolwiek dyskusyjny. Za to jego kompan nadrabiał za nich obu.

Do dziewczyny w czerwonej pelerynie dotoczył się największy mężczyzna, jakiego Sajmonella dotąd widział. Prawdziwy trol. Gdyby takowe istniały. *Mistrzu? Przydałoby mi się teraz twoje zainteresowanie*, mruknął w myślach, przełykając cicho ślinę. Dziewczyna skrzywiła się nieco, otaksowawszy wzrokiem całego jego jestestwo. Liczyła najwyraźniej na smakowitszy kąsek. Po chwili uśmiechnęła się jednak szeroko. W tych okolicach nie było sensu wybrzydzać.

- Dzień dobry państwu – zaczął ostrożnie Sajmonella.

- A to się jeszcze okaże, co nie, Rozi? – zaćwierkał perliście wymuskany właściciel buraczkowego surduta.

- Stul pysk, Brajanek. – Kobieta spojrzała gdzieś za plecy fajtera. – A Ty co? Zgubiłeś się? Sam tu tak po

lesie?

Sajmonella poczuł, jak w jego świadomość zsunął się lotem jastrzębia Metah. *W samą porę.*

- Sam i nie sam. Mam tu takiego wyimaginowanego przyjaciela. Spacerujemy sobie czasem po lesie dla zdrowotności.

- Wymia… wy… kurwa, jakiego?

- Rozi, a co un tak dziwnie godo? – zainteresował się olbrzym. – Może on jaki szlachcic, co? Abo kupiec?

- Pietja, bo się zatchnę… - odparła cicho kobieta, przymykając oczy. – Widziałeś kiedyś tak obdartego szlachcica? Albo kupca? Włóczęga jakiś, albo debil. Jak ten książę od gęsiego pióra… jak mu tam… Adrian.

- A no, no… - Pietja spuścił oczy, wbijając skruszony wzrok w ziemię.

- Pani Rozi – odchrząknął Sajmonella. – Mo…

- Panienko – rzuciła mechanicznie herszt baba, zanim dotarło do niej, że to co najmniej zbędna informacja w zaistniałej sytuacji. – Yyy… pytałam się ciebie o coś ktoś?

- Słuchajcie, nie chcę kłopotów – zaczął dobrodusznym tonem. – Wróćcie sobie spokojnie pod most czy tam w krzaki, a ja pójdę w swoją stronę i zaraz mnie tu nie będzie.

Rozi parsknęła wesoło, ruszając wolno w jego kierunku.

- I tu się nie mylisz. Bieda ci z oczu patrzy, ale pieniądze to nie wszystko. Jakoś się tobą podzielimy, co nie, Brajanek?

Estetycznie dyskusyjny wydobył nie wiadomo skąd niewielki kozik, uśmiechając się szeroko. Jego przeorany życiem kompan doskoczył do Sajmonelli, chcąc opatulić mu szyję mocarnymi ramionami, ale młody żerca był szybszy. Srebrny sztylet wystrzelił z obdartego rękawa w trakcie wykonywania półobrotu, tnąc na odlew. Napastnik warknął gniewnie, łapiąc się za ramię. Spod palców popłynęła mu cienka strużka krwi.

Rozi zatrzymała się w pół kroku, ściskając mocniej w dłoni wydobyty spod płaszcza toporek.

- No proszę… chyba jednak nie będzie tak całkiem zwyczajnie. – Spojrzała z satysfakcją na swojego mocarnego kompana. – Pietja?

Olbrzym uśmiechnął się jowialnie, jak gdyby dostał właśnie prezent lub wiadomość o spadku cen szyszek. Ruszył radośnie do ataku z nadspodziewaną przy swoich rozmiarach zwinnością. Sajmonella zamknął oczy, biorąc głęboki oddech.

Metah przejął kontrolę.

Rozi siedziała oparta o wielki głaz, obejmując rękami kolana. Czerwony kaptur, ochlapany zmieszanym ze śniegiem i krwią błotem, zakrywał płynące po policzkach łzy. Nie przestawała wydobywać z siebie przerywanego szlochu, nie mogła się powstrzymać. Wytarła zapłakany nos w rękaw.

- Czego beczysz – żachnął się Sajmonella, wycierając skrwawione ręce w śnieg. – Przecież nic ci się nie stało.

Kobieta zerknęła na rozwalonego na śniegu Pietję. Niedoszły trol spoglądał martwymi oczami w kierunku wijącego się na śniegu Brajanka. Trzeci mężczyzna zniknął w jarze razem z fragmentem mostu. Absolutna cisza dochodząca z wąwozu świadczyła jednoznacznie o jego losie. Rozi pociągnęła głośno nosem, wracając spojrzeniem do młodego żercy. Nie umiał odgadnąć, czy więcej było w jej oczach zaskoczenia czy lęku.

- Mówiłem, proponowałem – warknął rozdrażniony. Z niewytłumaczalnego powodu było mu jej trochę żal. Chyba przypominała mu pamiętną wdowę z samotnej chatki w lesie. Tamta też patrzyła na niego z podobną mieszanką emocji, gdy przekręcał w jej brzuchu sztylet.

Westchnął ciężko. Za każdym razem, kiedy pozwalał się opętać czarnoksiężnikowi, kończyło się krwawą jatką. Czasem nie było innego wyjścia. A może tak tylko sobie wmawiał. Tak było wygodniej, to z pewnością. Kiedy Metah brał go w posiadanie siłą, sprawa była jasna, sumienie czystsze, jeśli nawet nie całkiem czyste. Kiedy sam go wzywał, przybywało mu tylko nocnych koszmarów.

Zrugał się w myślach za dupowatość. Sam przecież tego chciał. Musiał w końcu wziąć się w garść, zostawić w tyle wszelkie moralne dylematy. Jak inaczej zapanuje nad Półmrokiem, nad Metahem, jeśli ciągle będzie „pomiędzy".

Wciągnął głośno powietrze, wściekły na samego siebie. *Dość tego*. *Idę na całość od tu i teraz.* Podszedł do Pietji z obnażonym sztyletem w dłoni. Przyklęknął przy jego głowie i położył mu rękę na ustach, szepcząc wersety. Poczuł, jak wnika w niego bandziorska dusza. Spojrzał na jagodowe usta ciężko rannego Brajanka i zdecydował, że woli jednak zejść do jaru. Dwie dusze jednego dnia to aż nadto. Po kilku minutach było po wszystkim. Uśmiechnął się do swoich myśli, wdrapując się z powrotem na leśny trakt. *Jak to było? Zostaw ziemniaczki?*

Rozi siedziała nadal tam, gdzie ją zostawił. Wyglądało na to, że doszła już chyba do siebie. Wstępnie. Patrzyła niewidzącymi oczami na jęczącego ciągle Brajanka.

- Co ja teraz ludziom powiem – wyszeptała półgłosem, nie odwracając spojrzenia od wymuskanego bandziora. Miała dziwnie beznamiętny ton. – Jesteśmy… byliśmy… najlepszą bandą na północ od Tosen. Wyśmieją nas. Nas czterech, on jeden. Nikt nie uwierzy w… w to.

Podniosła powoli głowę, spoglądając na Sajmonellę jakby widziała go po raz pierwszy.

- Powiesz, że poszliście nazbierać szyszek do ogniska i zaatakowały was wilki, cała wataha. Albo jeden duży – zażartował w przypływie niewyjaśnionej wesołości. Chyba zaczynał to lubić. Władzę. – Zeżarły chłopaków, a ty uciekłaś, spotkałaś w lesie myśliwego i zaprowadził cię do siebie. A co było potem, to już wedle twoich upodobań - mrugnął porozumiewawczo.

- Tak… - odparła cicho, nieprzytomnym tonem. Podniosła się z wolna, nieco nieskoordynowanie, jak

świeżo wybudzona ze snu. Naciągnąwszy na głowę czerwony kapturek, złapała leżący na ziemi toporek i ruszyła powoli w kierunku kwilącego jeszcze Brajanka. – Tak…

- Ja żartow… - zaczął Sajmonella, nim tryskająca z odciętej głowy blondyna krew ochlapała mu twarz. Przetarł rękawem oczy. *A zresztą…*, przebiegło mu przez myśl. Machnął ręką beznamiętnie i ruszył w dalszą drogę.

Nim zniknął za zakrętem, obejrzał się jeszcze za siebie. Po Rozi nie było już śladu.

Zimny wiatr ze wschodu przedarł się przez zasłonę z konarów drzew i zmiótł ostatnie ciepłe promienie słońca ze ścieżki. Sajmonella wzdrygnął się mimowolnie. Zatęsknił przez chwilę za Rzeczykolegialną Lechicką, za Helmsby. W jego rodzinnej wiosce, na łące u Leczniaka zakwitły już pewnie pierwsze prymulki. Na Sfornych Terytoriach nie znano nawet tego kwiatu. Chuchnął w zamyśleniu w przemarznięte dłonie. Tutaj nie znano wielu rzeczy. Na szczęście.

Dzień miał się już ku zimowemu wieczorowi, kiedy z ciemniejącego szybko półmroku wyłonił się kształt zabudowań. Przystanął na chwilę za nieco większym drzewem, obserwując z uwagą obejście. Na ile był w stanie coś dostrzec. W oknie najbliższego budynku zamigotał niewyraźnie płomień świecy, od którego od razu zrobiło mu się cieplej na duszy. Odczekał jeszcze kilka minut, po czym ruszył z wolna w kierunku chaty, starając się człapać możliwie najgłośniej.

Daleko stąd, dalej nawet niż za linią horyzontu, ludzie mieszkali w ziemiankach, których dach wystawał ponad powierzchnię gruntu. Na mróz wołano tam pieszczotliwie, żeby od niego nie zwariować. Był jak nielubiany członek rodziny - jakoś trzeba było z nim żyć. Wkopane w ziemię chaty zapewniały lepsze warunki do przetrwania, izolowały całkiem nieźle od zimna. Wystarczyło rozgrzać kamienie w ich wnętrzu, zalać je wodą i już można było cieszyć się ciepłem i opowieściami o duchach, którymi raczono się w oczekiwaniu na lepsze dni.

Sajmonella dostał gęsiej skórki na samo wspomnienie. Szlak jego ucieczki zawiódł go niegdyś za horyzont, ale na krótko. Wolał cieplejsze południe, jeśli nawet niekoniecznie bezpieczniejsze. Poza tym, tutejsze chałupy z bali przypominały mu o pewnej chatce w lesie. O Cristal. Potrząsnął głową, próbując odgonić nachalne wspomnienia. Musiał się teraz mocno skupić, żeby wiarygodnie sprzedać swoją historię. *Cristal*...

Drzwi chaty otworzyły się z hukiem, zanim jeszcze zdążył unieść pięść, aby załomotać w drewniane wrota. Zaskoczony, cofnął się odruchowo o krok i potykając się, upadł na śnieg. Nie przypominał sobie, żeby słyszał chrobot odsuwanej zasuwy. Na progu zakołysał się potężny cień, zasłaniając sobą prawie cały otwór.

- Kto tu? – zagrzmiał niski, gardłowy głos mężczyzny. – I czego o tej porze?

- Panie, dobrzy ludzie, ja… - zająknął się Sajmonella. – Ja tu z lasu… łaski noclegu upraszam, choćby i na sianie w stodole, aby do rana… panie, zlitujcie się…

- Jeszcze mi tu włóczęgi z lasu… a może wy zbójca, co? – Mężczyzna rozejrzał się niespokojnie na boki. W półmroku zafalował cień ściskanego w dłoni topora. – Gdzie twoje kamraty?

- Ja… panie, ja nie… ja nie zbójca, przysięgam… noclegu jeno szukam, rano mus mi w drogę z wiadomością… przysi…

- Z wiadomością? A co wy, kurier jaki? – Gospodarz obrzucił szybkim spojrzeniem nienagannie obszarpane jestestwo żercy. – Obdarty włóczęga z lasu, będziesz mi tu pierdolił w żywe oczy. Ech Ty!

- Chłopaka, chłopaka rodziny szukam! – zaskomlał Sajmonella, zasłaniając się ręką od uniesionego w górę ostrza. – Panie, zlitujcie się, ja nie zbójca… z rana zaraz pójd…

- Chłopaka? – Gardłowy głos zastygł w oczekiwaniu niemal w tym samym momencie, co trzymany w dłoni topór.

- Joszko… Joszkiem się zwał, na rękach mi umarł, wyszeptał przed śmiercią… ryś…

- Gabor? – Z wnętrza chaty rozległo się zaniepokojone wołanie. – Gabor, kto to? Wrócił?

- Ryś… - Młody żerca kontynuował łamiącym się głosem. – Ryś go poszarpał, kiedy zakładał wnyki… dobiegłem, na polowaniu byłem, dobiegłem, ale nie zdążyłem… jeno kota żem odgonił, ale dziecko… - zachlipał możliwie najautentyczniej. – Dziecko już obszarpane, panie, co to za straszny widok, tyle krwi… jeno mi wyszeptał swoje imię i umarł… pochowałem niedaleko, między drzewami, kamieniami obło…

- Gabor? – Na progu zamajaczyła kobieca postać. - Gabor, stało się co? Kto to, na litość…?

- Włóczęga – zawarczał, nieco odmienionym tonem. – Noclegu szuka. Tam – wskazał toporem na zlewającą się już z mrokiem stodołę. – Tam śpijcie, miejsca w chacie nie ma.

- Dzięki ci panie, niech ci los pobłogosławi… - Sajmonella podniósł się szybko i pokuśtykał pokracznie we wskazanym kierunku, otrzepując z siebie śnieg. Oglądając się za siebie zobaczył jeszcze, jak gospodarz bez słowa popycha kobietę do wnętrza chaty. Zanim załomotały zamykane za nimi drzwi, młody żerca wiedział już po reakcji Gabora, że trafił bez pudła. Gospodarz na pewno wiedział, o kogo chodzi, choć…

Interesujące, szepnął do siebie pod nosem, uchylając wrota stodoły. Obiecał sobie podumać nad tym następnego dnia - teraz był zbyt zmęczony, aby rozwodzić się nad czymkolwiek. W rogu stodoły położył sztylet, nakrywając go gęsto sianem. Gdyby znaleźli przy nim ostrze, pierwsze wrażenie wzięłoby w łeb. Ukontentowany, umościł się wygodnie na chłodnym sianie. Zamknął oczy i wypuścił powoli powietrze przez nos. *Bardzo interesujące.*

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Sajmar, dodano 23.08.2022 09:08

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.